

Wigilijna opowieść

27 grudnia 2015

Dzisiaj Gołębki to gęsto zabudowane osiedle na zachodnim skraju Warszawy. Ale dawniej były uroczą podwarszawską osadą zatopioną w zieleni ogródków. Centrum Gołębek stanowiły stare wille i domy szacownych rodzin przedwojennej warszawskiej inteligencji. Tu miał swój dworek premier i minister skarbu RP, pan Władysław Grabski. Tu również mieszkał aż do śmierci w 1953r. prezydent Stanisław Wojciechowski. Obaj ci panowie to wybitni polscy narodowcy, czego nie można powiedzieć o ich prawnuczce niejakiej Małgorzacie Kidawie-Błońskiej. Zresztą przed wojną Gołębki były miejscem osadnictwa ludzi z obozu narodowego, dlatego tu niegdyś panował wspaniały, patriotyczny klimat.

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, na pustych parcelach zaczęli budować swoje domki nowi przybysze. Niektórzy wcześniej sprzedali swoje gospodarstwo rolne, by szukać lepszego życia w mieście. I nas los obdarzył szczerze wspaniałymi sąsiadami. Byli to państwo Marciniakowie, ludzie wyjątkowi. Nigdy nie przedkładali własnych korzyści nad interes innych, a dobro ogółu liczyło się bardziej niż własne.

Dziadek Marciniak był ogrodnikiem. W Gołębkach każdy miał ogród i wszyscy czuli się po trosze ogrodnikami, ale przychodzono, by oglądać wyhodowane przez dziadka porzeczki. Były to krzewy z owocami wielkości winogron. Pamiętam, że każdy chciał mieć takie kiście owoców u siebie, toteż ludzie przyjeżdżali czasem z odległych stron, by zdobyć choć jedną szczepkę z niezwyklej rośliny.

Tajemnica sukcesu polegała na tym, że dziadek Marciniak wkładał całe swoje serce we wszystko co robił. Pamiętam, że każdą roślinę dotykał delikatnie, z ogromną czułością. Tak jakby kąpał i przewijał niemowlę.

W gołąbkach, wbrew socjalistycznej doktrynie dotyczącej sprawiedliwości społecznej, widać było dysproporcje majątkowe mieszkańców. Na naszej ulicy, naprzeciwko willi żydowskiej rodziny prawników i posiadłości właściciela garbarni, miała swoją chatkę babcia Listkiewiczowa. Chatka, to wyrażenie dość wytworne jak na określenie drewnianej budki obitej papą.

Babcia żyła z uprawy truskawek. Jej poletko nie było zbyt wielkie, dlatego dochody pani Listkiewicz ledwo wystarczały na nędzną wegetację. Babuleńka musiała utrzymać jeszcze psa, który z pełnym poświęceniem pilnował biedy. Stare, rude, wierne psisko mieszkało w beczce obok domku. Patrząc z daleka na elementy tej małej architektury, trudno było rozstrzygnąć, czy to beczka czworonożnego Diogenesa była tak wielka, czy też chatka taka maleńka.

Mijały lata. Coraz trudniej było uprawiać babci swoje poletko i z każdym rokiem staruszka stawała się coraz bardziej przygarbiona. Chyliła się ku ziemi, jakby ta ziemia chciała ją wchłonąć, jakby upominała się o swoją własność. Stara kobieta nie poddawała się, aż przyszła wczesna i mroźna zima. Staruszka raz na kilka dni brnęła przez zaspy do sklepu po chleb. Duma i upór w walce z własną bezsilnością nie pozwoliły jej prosić o pomoc sąsiadów.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Ludzie pochłonięci przygotowaniami do świąt, opętani manią zakupów zapomnieli o biednej kobiecie. Ale nie wszyscy. Oto w mroźny wieczór wigilijny, kiedy pani Marciniakowa zgodnie z tradycją ustawiła na stole pusty talerzyk, jej mąż ubrany już odświętnie, podreptał po starą samotną kobietę.

Pani Listkiewicz spędziła po raz pierwszy od wielu lat uroczystą wieczerzę wśród prawdziwych przyjaciół, ze wspomniałą katolicką rodziną. Nikt wtedy nie wiedział, że była to jej ostatnia Wigilia. Tej zimy jeszcze wiele razy staruszka przychodziła na łyżkę gorącej strawy, a w największe mrozy pomieszkiwała nawet u państwa Marciniaków.

Obrazy tamtych lat stają się niewyraźne jak pożółkłe amatorskie fotografie, których autor zapomniał ustawić ostrość obiektywu. Twarz pani Listkiewiczowej zasnuta woalem niepamięci jest niewidoczna. Ale wyraźnie widzę jej ręce, pomarszczone, z wyraźnymi czarnymi bruzdami. Palce spękane od ciężkiej pracy liczą grosiny za łąbiankę pięknych, soczystych, połyskujących czerwienią truskawek.

W zakamarkach pamięci widzę dziadka, jego charakterystyczny chód, słyszę pochrząkiwanie wśród aromatycznych róż i niespotykanych porzeczek. I jeszcze jawi mi się Aniela Marciniak, cicha inspiratorka szlachetnych poczyń.

Dziś, w dobie braku autorytetów moralnych, w świecie przepełnionym egoizmem, zdawałoby się łatwiej znaleźć kwiat paproci niż wrażliwe ludzkie serce. Dlatego nie szukajmy autorytetów wśród bękartów antychrysta w diabelskiej telewizji, kolorowych żydowskich piśmiłach, komputerach. Szukajmy ich wokół nas – prostych ludzi. I niech smutek nas opuści, bo Chrystus na świat przychodzi!

A kiedy na stałe zamieszka w naszych sercach, sami będziemy autorytetami moralnymi.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Wolna-Polska.pl